Kraków, sobota 10 listopada 1900.

Rok V. Nr. 19.

PRAWDA

PISMO LUDOWE

poświęcone sprawom religijnym, narodowym, politycznym, gospodarskim i rozrywce.

„Jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali, którzy go budują".
Psalm 126.

Wychodzi w każdą sobotę.
Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: *X. Teofil Flis.*

Cena prenumeraty z przesyłką:

w Austryi:		za granicą:	
rocznie . . .	złr. 2.—	rocznie . . .	złr. 2.50
półrocznie .	» 1.—	półrocznie .	» 1.30
kwartalnie .	» —.50	kwartalnie .	» —.65

Pojedyńczy numer kosztuje 5 cnt.

Prenumeratę oraz wszelkie korespondencye nadsyłać należy pod adresem: **Redakcya „Prawdy" Kraków, ul. św. Anny Nr. 11.** Biuro redakcyi otwarte codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel, od godziny 2—7 po południu.

Rękopisów się nie zwraca. — Nie przyjmuje się listów nieopłaconych.

Nieopieczętowane reklamacye wolne są od opłaty pocztowej.

✳ Prosimy o rozszerzanie naszego pisma. — Popierajcie handel i przemysł chrześcijański! ✳

Solidarność narodowa.

Od jednego z przyjaciół naszego pisma otrzymujemy następujące trafne uwagi:

Pod względem wyborów jesteśmy jak owce bez pasterza. Tylu narzuca się nam opiekunów-doradców, że nie wiemy kogo słuchać. Każde stronnictwo siebie zachwala, swych kandydatów stawia, na drugich suchej nitki nie chce zostawić. Ma swoich kandydatów ks. Stojałowski, mają ich ludowcy, socyaliści i secesyoniści z klubu Stojałowszczyków. Nadto powstają komitety obywatelskie, które, nie należąc do żadnego z wymienionych stronnictw, na własną rękę stawiają kandydatów.

Za kim iść, kogo słuchać?

Szemrano i narzekano na komitet centralny, że nam posłów narzucał i wybierać kazał, a oto ci sami, co to mieli lud wyswobodzić od tego komitetu centralnego, także kandydatów narzucają, nową niewolę wprowadzają, bo nie oglądają się na wolę wyborców. Zbierają się bowiem po różnych miastach i tam kują przyszłych posłów i ustanawiają, że ten dla tego okręgu wyborczego, tamten dla innego — a wola wyborców? *Oni powinni tak zrobić, jak my im każemy,* głoszą zebrani. Otóż uważcie, czy oni nie to samo wprowadzają, na co sami utyskiwali i was burzyli przeciwko komitetowi centralnemu, i ten komitet centralny tak zohydzili, że na zgromadzeniu nawet o tem wspominać nie można, bo zaraz podniosłby się krzyk! (Swoją drogą komitet centralny nie jest bez winy. Przyp. Red.).

Przejdźmy wieś jedną po drugiej, zapytajmy ludzi — na kogóż będziecie głosować, kogóż myślicie obrać swym posłem? Każdy wzruszy ramionami, a wreszcie powie: Od nas to nie zależy, jedna wieś posła nie wybierze. Prawda jest — jedna wieś posła nie wybierze, ale od czegóż porozumienie? Otóż właśnie dobrze jest, że powstają komitety lokalne, bo na nich możemy wywiedzieć się, jacy są kandydaci, możemy żądać, by się nam kandydat przedstawił, by wygłosił swe zapatrywania, by odpowiedział na nasze interpelacye, a wtedy osądzić możemy, czy to będzie poseł według naszej potrzeby i czy daje on rękojmię, że potrafi coś dla nas zrobić.

Rozumie się, każdy obieca dużo, o co on się starać będzie — ale obiecać można jeszcze więcej, a z tego nic nie będzie, bo jeden poseł, choćby niewiedzieć ile mówił, nic nie wykołacze. Potrzeba, by wszyscy posłowie szli kupą jako jeden mąż, to rząd i inne stronnictwa muszą się z tem liczyć.

A kiedym wspomniał o tem, by wszyscy posłowie szli razem, muszę przypomnieć zabiegi ludu o zjednoczenie się posłów. Lud nie mógł tego dokonać przed rokiem, ale teraz jest możność ku temu. Posłom, których mamy wybrać, wyraźnie mamy polecić, aby szli razem, aby tworzyli jeden klub, jedno stronnictwo. Czy zanosi się na to? Niestety, zanosi się na większe rozbicie, niż było przed rokiem. Żadne ze stronnictw ludowych nie ucichło, nie zrezygnowało ze swej działalności, każde chce się jeszcze wzmódz, aby dalej gryźć się i wadzić, i znów lud polski będzie rozerwany i znów nasi posłowie staną się pośmiewiskiem u obcych, a u swoich doczekają się gorzkich wyrzutów: niceście dla nas nie zrobili, chyba tyle, żeście się o nazwy wadzili!

Jest na to sposób – wybierajmy tylko takich posłów, którzy oświadczą się, że wstąpią do Koła Polskiego. Niech ta nazwa «Koło Polskie» nie przeraża nas. Wszakże był w nim nasz brat Jan Potoczek, a cóż mu się działo? Miał zupełną swobodę, upomniał się o wszystko, co miał na sumieniu, przemawiał, ile razy zażądał głosu, a głos jego miał znaczenie, bo miał poparcie 56 posłów. On to oświadczył, że poseł, który nie należy do Koła Polskiego, nie ma we Wiedniu żadnego znaczenia. (Statut Koła polskiego winien być zmieniony tak, aby poparcie spraw ludowych nie zależało tylko od dobrej woli większości. Przyp. Red.).

Solidarność narodowa winna być hasłem przy tych wyborach!

WYBORY.

Na wstępie z przyjemnością zaznaczyć musimy, że wyborcy w znacznej części trzymają się zdrowego rozumu i dlatego okazują swą życzliwość tylko tym kandydatom na posłów, którzy odznaczają się wiarą katolicką, życzliwością dla ludu i dla spraw ludowych i którzy dotąd działali z pożytkiem dla szerokich warstw pracujących.

To też prawie wszędzie obracają się plecami do różnych »urzędników« po kasach chorych, socyalnych demokratów, żydowskich popleczników i innych spekulantów na pieniądze poselskie.

I tak naprzykład w Kościelnikach pokazano drzwi Wójcikowi, skoro tylko zobaczono, że się brata z socyalistami przybyłymi na jego zgromadzenie. Podobnie napędzono socyalistów w Rybnej, Krzęcinie i Dąbiu. We wszystkich okręgach wyborczych, gdzie postawili socyaliści swoich kandydatów, lud odwraca się od nich. Tylko po miastach żydzi ich popierają, a obałamuceni robotnicy pozwalają się im wodzić za nos i robią składki na ich agitatorów wyborczych.

Nieświetnie też idzie ludowcom. Taki Krempa raczy podobno wódką swych wyborców obficie, ale te czasy już minęły, kiedy to za kieliszek wódki oddawano swe głosy. Dra Winkowskiego w tarnowskiem nikt nie chce znać więcej.

W Sanockiej kuryi V. w której napróżno rzuca się na wszystkie strony ludowiec Stapiński, wyłania się narodowa kandydatura radcy Jabłońskiego, naczelnika sądu w Krośnie, mająca podobno widoki zwycięstwa.

Kontrkandydat Krempy (w IV. kuryi Mielec-Ropczyce-Tarnobrzeg) ks. Zuziak jako zastępca prezesa Rady powiatowej tarnobrzeskiej, pracuje od 6 lat pilnie nad dobrem ludu, popiera jego interesy, jako proboszcz prowadzi on u siebie kasę Rajffeisenowską, czyni, co może, aby wyrwać lud z rąk żydowskich, zakłada Kółka rolnicze, utworzył w Baranowie chrześcijańskie Towarzystwo »Ojczyzna«; na cele parafii, kościół i budynki pleb., w przeciągu kilku ostatnich lat wydał 16 tysięcy koron z własnej kieszeni, ratuje ojcowiznę ludu przed żydowską żądzą zysku, jest przyjacielem, doradcą, opiekunem i rozjemcą ludu.

W sądeckiej kuryi V. kandydatura Stanisława Potoczka stoi dość silnie.

W Grybowie zgromadzenie wyborców uchwaliło pod przewodnictwem br. Brunickiego kandydaturę Jana Potoczka z IV kuryi sądeckiej.

W dniu 28 z. m. odbył się drugi wiec stronnictwa katolicko-narodowego w Bocheńskiem w Wiśniczu starym. Zebranych włościan w liczbie 300 powitał proboszcz miejscowy ks. Ratowski, przedstawiwszy ks. dra Zygulińskiego jako kandydata na posła z V. kuryi, przyczem wyraził radość z przybycia zacnych pracowników z Tarnowa, zachęcając zgromadzonych do uwagi i poważnego zachowania się. Przewodniczącym wybrano Pilcha, gospodarza z Doluszyc, zastępcą Nakielskiego Pawła, gospodarza z Leksandrowej, a sekretarzami Kamyczka, gospodarza z Wiśnicza starego i Pałkę nauczyciela.

Potem ks. dr. Zyguliński w swej mowie wyjaśnił potrzebę utworzenia stronnictwa katolicko-narodowego, oraz wyłuszczył program tegoż stronnictwa, które opierając się na religii chrześcijańskiej pragnie szkół wyznaniowych, asekuracyi przymusowej krajowej, monopolu wódczanego, regulacyi rzek, zakładania fabryk; daje wskazówki, jak ratować się przed wyzyskiem żydów, żąda zaprowadzenia ustawy przeciw lichwie i przestrzega przed ludowcami, jako bezwyznaniowymi, z żydami kokietującymi. Zgromadzeni włościanie wysłuchali tego pięknego wykładu z wielkiem zajęciem.

Stronnictwo katolicko-narodowe odbyło w okręgu krakowskim V. kuryi w ubiegłym tygodniu cały szereg zgromadzeń przedwyborczych jak n. p.: w Chorowicach, Kulerzowie, Rybnej, w Krakowie. Dr. Kazimierz Krotoski pokazał, że zna jak najlepiej potrzeby ludowe, że wie, co lud boli. Zresztą on sam pochodzi z ludu. Wszędzie żalono się, że dotychczasowy poseł zawiódł haniebnie swych wyborców trzymając z żydami i jeżdżąc po szerokim świecie, a nie tro-

szcząc się wcale o lud. Co jego może obchodzić wy zysk żydowski, regulacya rzek, monopol wódczany i inne sprawy ludowe? On marzy o stworzeniu nieba na ziemi - ale dla siebie i innych socyalistów. Dr. Kazimierz Krotoski to nie żaden cygan i łgarz, ale człowiek prawy i religijny, na którego się każdy śmiało spuścić może. On też niezawodnie będzie naszym posłem z V. kuryi.

Ministerstwo spraw wewnętrznych ustanowiło dla kuryi powszechnej Lwów i Kraków nowe okręgi wyborcze i miejsca wyboru (rozp. dnia $^{1}/_{11}$ 1900), a mianowicie:

W powszechnej klasie wyborczej lwowskiej, a) w powiecie sąd. Lwów gminy: Sokolniki, Zubrza, Sichów, Pasieki zubrzyckie, Kozielniki, Hodowice, Basiówka, z miejscem wyborów Sokolniki, dalej b) Wołków, Żyrawka, Podciemno, Zagórze, Kuhajów, Solonka, z Wołkowem jako miejscem wyboru, dalej c) w powiecie sądowym Winniki, gminy: Dawidów, Krotoszyn, Tołszczów, Siewiska, Czerepin z Dawidowem jako miejscem wyborów.

W okręgu wyborczym Krakowa, a) w powiecie sądowym Podgórza gminy: Ludwinów, Dębniki, Łagiewniki, Zakrzówek, Krzesławice, z Ludwinowem, jako miejscem wyboru; b) w pow. sądowym Skawina, gminy: Kobierzyn, Borek fałęcki, Brzyczyna, Libertów, Opatkowice, Swoszowice z Kobierzynem, jako miejscem wyboru, oraz c) w pow. sądowym Kalwarya: Krzęcin, Borek szlachecki, Ochodza, Zelczyna, Gołuchowice, Polanka Haller, z Krzęcinem jako miejscem wyborów.

Zakładajmy kasy.

Czytając Szanowny Czytelniku nagłówek: »zakładajmy kasy«, może się ośmiejesz ramionami ruszysz i powiesz: ja centa nie mam a kasę mam zakładać? — z czego i gdzie ją mam zakładać. Mów ty jednak swoje — gazetka nasza choćbyś i bezustannie ramionami ruszał, mówić, radzić i zachęcać nie przestanie. Dziś bowiem organizowanie kas jest czynnością najważniejszą, najzdrowszą i najpotrzebniejszą na polu pracy zmierzającej do podniesienia dobrobytu i oświaty ludu, którego dobro, pomyślność i szczęście tak bardzo leży nam na sercu.

Że kasy pożyczkowe najważniejszą są sprawą, do której każdy dbający szczerze o podniesienie ludu przyłożyć się powinien, to ja wiem sam ze siebie. Idę bowiem w zakład, że jeżeliby tylko ktoś pożyczył mi znaczniejszej kwoty pieniężnej: bez wielkich zachodów, na mały procent, i w dowolnych ratach płatną — to ja się wkrótce dorobię i dług spłacę. Nie łatwo wszakże dziś o pożyczkę: musisz się człowieku nakłopotać, nachodzić, ręczycielom nakłaniać — a jeżeli coś uzyskasz, to cię ścisną procentami tak, że ta pożyczka wyżebrana grubo opłacona zamiast pomódz — raczej cię zgubi, zabije.

Kiedy zaś wołamy: zakładajmy kasy — to mamy na myśli inne: przystępne dla każdego i dogodne; a myślimy tu o kasach pożyczkowych opartych na przykazaniu miłości bliźningo, a nie na zasadach żydowskich, które szukają tylko zysku. Kasami zaś temi są »Spółki dla oszczędności i pożyczek W. Raiffeisena«. Jedyne to kasy dla nas biednych, dla ludu, gdyż te tylko oparte na zasadach chrześcijańskich a prawie wszystkie inne na żydowskich i liberalnych. Instytucye te udzielają właśnie pożyczek w ten sposób, że człowieka nie zabiją, lecz podeprą. Każdy bowiem może w nich zaciągnąć pożyczkę bez wielkich zachodów, bez czapkowania, bez kubków i większych strat. Kasa Raiffeisena rozciąga swoją działalność na jednę gminę albo też na jednę parafię. Chcesz więc zaciągnąć pożyczkę — nie potrzebujesz się wlec o całe mile do jakiegoś miasta. Nadto zarząd Spółki Raiffeisena zna ludzi w swojej gminie, a przez to nie domaga się zbyt bogatych ręczycieli, a i ci jako sąsiedzi, przyjaciele, chętnie poręczą za ciebie i to bez poczęstunków i wielkich zachodów — gdyż mając kasę na miejscu pod ręką, nie wiele tracą czasu i bez ciężkich czynią to trudów. Kiedy zaś pieniędzy pożyczysz, to Spółka Raiffeisena nie przyciśnie cię wielkimi procentami a raty spłaty rozłoży na długi czas, a jeżelibyś z ratą zamieszkał — to nie każe ci płacić procentów zwłoki. Jeżeli więc jest tylko człowiek pracowity, przemyślny, obrotny a trzeźwy i przytem w swojej gminie ma pod bokiem kasę Raiffeisena — natenczas nie ulega żadnej wątpliwości, że się dorobić czegoś może, a nawet musi — jeżeli tylko zechce.

Na wartości tych kas pożyczkowych, znanych pod nazwą Spółki kredytowe Raiffeisena, poznali się ludzie za granicą, chwycili się ich też całemi rękoma i zakładają je w każdej wiosce. W Niemczech np. było tych Spółek kredytowych w roku 1870 20, w roku 1877 liczba ich dochodziła już do 100, a dziś istnieje ich 13.000, do których należy przeszło milion członków. Również szybko powstają Spółki Raiffeisena w różnych krajach austryackich — a jest ich już 1.300 z górą. U nas w Galicyi również zaczynają się ludzie krzątać koło zakładania tych pożytecznych instytucyj, a zabiegi te wepchnięto na szybsze tory, kiedy Wydział krajowy zaopiekował się niemi. Potrzeba tylko teraz współdziałania naszego — samego ludu. — Każda gmina powinna się dopraszać o założenie u siebie takiej kasy — a Wydział krajowy za pośrednictwem Patronatu dla tych Spółek chętnie dopomoże do założenia takiej spółki. Nuże tedy do pracy na tem polu — bo tu praca każdemu na pożytek się obróci i nie obliczone odda usługi.

Nasze też pisemko zamieszczać będzie od czasu do czasu wiadomości, pouczenia i zachętę do zakładania i utrzymania Spółek Raiffeisena i gotowiśmy również w każdej chwili udzielić wyjaśnienia celem organizowania tychże.

I nie przestaniemy nigdy nawoływać: — »zakładajcie kasy« — bodaj tylko głos nasz znalazł posłuch u naszych czytelników włościan, nauczycielstwa i duchownych, gdyż te czynniki zawsze muszą

pójść zgodnie w pracy na tem polu, a praca będzie ułatwiona i w dobre owoce wydatna.

Tani i zdrowy kredyt.

Byłem na zgromadzeniu delegatów do komitetu przedwyborczego w powiecie wadowickim. Jeden delegat z Kalwaryi uskarżał się, że rzemieślnik jest bez kredytu, a winę tego przypisał Kołu polskiemu.

Jest rzemieślnik bez kredytu, ale nie z winy Koła polskiego, tylko z ospałości miejscowych czynników. Sejm zrobił swoje, uchwalił ustawę, ale naszą rzeczą jest korzystać z niej. A ustawa, o której chcę mówić, jest ustawa o «Spółkach oszczędności i pożyczek pod patronatem Wydziału krajowego». Ona to zapewnia Spółkom pomoc przy założeniu kasy oszczędności i pożyczek. A ta pomoc tak nic nie kosztuje, iż jeżeli kto z niej nie korzysta, to chyba sam na siebie narzekać może.

Gdzie tylko zbierze się choćby 15 członków, którzy oświadczą, że pragną u siebie mieć kasę, niech tylko bodaj na korespondentce dadzą znać do Wydziału krajowego o swym zamiarze, a już Wydział krajowy spieszy z pomocą. Wysyła swego delegata, by pouczył ludność o Kasie Raiffeisena, a gdy ludność zrozumiała słowa delegata i oświadczyła, że przystaje na taką kasę — Wydział krajowy daje zasiłku 400 koron na zawiązanie się spółki, a nadto poucza o wszystkich formalnościach, które trzeba załatwić z różnemi władzami. Wydział krajowy przysyła już gotowe podania ostemplowane, które tylko trzeba podpisać, przysyła kasę ogniotrwałą, przysyła książki i papiery, a nawet książeczkę: «Przewodnik praktyczny do prowadzenia kas systemu Raiffeisena». A komuż to zawdzięczyć? Czy nam to może zrobili ci posłowie, co to najwięcej krzyczą? O nie, oni nawet nie wiedzą o takich kasach. Zrobili to ci posłowie, którzy do Koła polskiego należeli.

Dziwna rzecz i prawie niepojęta, że stronnicy ludowców, stojałowczyków są nawet nieprzychylnie usposobieni dla kas Raiffeisena. Ja wiem, ile oni wydrwiwali, ludzi straszyli, gdy u nas miała powstać Spółka oszczędności i pożyczek.

Otóż bracie z Kalwaryi, jeżeli czytasz «Prawdę», porusz myśl wpośród obywateli, aby u was powstała kasa, a rzemieślnik nie będzie bez kredytu i Ty nie będziesz miał powodu narzekać, bo rzemieślnik łatwo otrzyma pożyczkę bez żadnych prawie kosztów, a że to niejednego zajmie, więc w następnych numerach o tem jeszcze napiszę. *Sz.*

Co słychać w świecie?

Wiedeń d. 5 listopada. Jutro rozpoczną się w pałacu arcybiskupim, pod przewodnictwem kardynała Gruschy, konferencye biskupów; weźmie w nich udział między innymi ks. biskup krakowski Puzyna.

Pisek w Czechach. Proces Hilsnera skończy się prawdopodobnie w sobotę bieżącego tygodnia.

Węgry. Rząd węgierski usuwa powoli język niemiecki ze szkół. Wydał nadto rozporządzenie, że cudzoziemcy nie mogą być urzędnikami w dobrach rządowych lub kościelnych. Dotknie ono przedewszystkiem niemców, którzy takie posady najczęściej zajmują.

Hiszpania. W Hiszpanii szerzą się rozruchy karlistyczne. Zwolennicy Don Karlosa, który rości sobie pretensye do tronu hiszpańskiego, znowu zaczynają się ruszać. Rząd porobił liczne aresztowania.

Afryka. Wojna jeszcze nieskończona. Bohaterski jenerał *Dewet* daje się Anglikom jeszcze we znaki. Właśnie niedawno oddział angielski wpadł w zasadzkę i poniósł dotkliwą klęskę. Ale też i burowie ponoszą liczne straty. Anglia ma wkrótce ogłosić wszystkim rządom, że Transwal przyłącza do posiadłości angielskich. Burom już to ogłoszono.

Dnia 11 listopada ma prezydent Krüger stanąć na ziemi francuskiej. Obecnie jest na morzu, a ma być chory.

Chiny. Waldersee, naczelny dowódca wojsk europejskich, zatwierdził wyrok śmierci, wydany na urzędników chińskich, których aresztowano w Paotingfu. Ostateczne rokowania pokojowe prawdopodobnie rozpoczną się przed upływem miesiąca.

Zwycięstwo kochającej matki.

NAPISAŁ

BOŻYSŁAW.

(Ciąg dalszy).

Jasiek tymczasem całe dnie i noce przepędzał w miasteczku na propinacyi lub u Josla, u którego zbierało się także wiele ludu wiejskiego.

Rozdawał jakieś gazety, jakieś książeczki. Rozpowiadał o rzeczach całkiem nowych. Że przyjdą takie czasy, w których nigdy żadnej krzywdy już nie będzie, że nikt nie będzie pracował za dużo, ani za mało, ale wszyscy jednakowo będą na życie zarabiali i jednakowo żyli.

Ludziska słuchali, głowami kiwali, a nie jeden westchnął, aby najprędzej doczekać tych czasów.

Byli zaś i tacy, którzy wróciwszy do swoich robót szeptali:

— Mówi on tam mówi, ale człowiek tego nie pojmie rychło. Nie uczeni my jeszcze do takich czasów. Nie uczy tego ksiądz na ambonie, nie ma o tem w żadnej książce do modlenia – kto go wie, o czem on prawi.

Sama Tomaszowa słyszała nie jeden raz takie rzeczy od Jaśka, iż ich pojąć nie mogła, ale czuła, że serce jej kaleczą.

Aż tu w drugą niedzielę po przyjeździe Jaśka, przychodzi on do matki i powiada:

— Matulu!... abyście na mnie z obiadem nie czekali, bo do domu nie przyjdę, aż rano.

Tomaszowa spojrzała smutno i pyta:

— Gdzież będziesz?

— Przyjeżdża ze Lwowa jeden towarzysz, to muszę z nim być. Mamy wiele roboty.

— Cóż wy w niedzielę możecie robić? Przecie to dzień Boży — wszyscy w kościele będą — a wy — gdzie?

— My będziemy u Josla.

— U Josla?... — powtarza smutno Tomaszowa. Tam dla was inny ksiądz przyjdzie z nauką Bożą? tam dla was będzie inne nabożeństwo?... Zamiast dzwonka, który woła w kościele, byśmy klękli, przed Bogiem się ukorzyli i bili w piersi, to wam kieliszki będą dzwoniły?...

— Dajcie pokój, matko, wy nie rozumiecie tego.

— Pewnie, że nie rozumiem, ale ot co ci szkodzi, że stara matka pogada. Prawda Jaśku?... Przyjdzie czas, gdy stara matka mówić już przestanie. Czy to ona wieczna?... Pochyliła się już od pracy, jak ta wierzbina w polu od wichrów. Oczy jej się zapadły od tej igły, którą sobie i tobie, mój jedynaku, na chleb i życie zarabiała...

Tomaszowej głos smutny, a ręka jej się trzęsie. Jednak matka syna tuli do siebie — jego czoło całuje, a mówi jeszcze ciszej:

— A pamiętasz, jak ty ze mną zawsze chodził do kościoła? jak ty za mną powtarzał słowa litanii?... Modliliśmy się razem, to nam i Bóg błogosławił...

— Moja matko! co innego dziecko, co innego wy — teraz inaczej... gdybyście żyli tak, jak ja między ludźmi nowymi, tobyście rozumieli, ale idę...

— Dobrze mówisz, Jaśku, że między nowymi ludźmi żyjesz. Takich ludzi nie bywało u nas. Nie bywali tacy, aby drogi do kościoła nie znali. Byli tacy, co na budowę kościoła nosili długo — długo — kamień po kamieniu, cegłę po cegle, a zapłaty nie chcieli, a myśleli, niech to będzie dla chwały Bożej, i wracali pocieszeni i spokojni. A ty jeszcze nie był w tym kościele?...

— Ot!... co z tego?... ksiądz mówi kazanie, ale nie zaradzi biedzie ludzkiej, bogaczów nie zmusi, aby biednym dali swoje majątki — nie wstawi się, aby robotnik miał lepszą zapłatę... ale wam nie ma co o tem gadać — wy po swojemu — a ja po swojemu.

Wziął kapelusz świecący, laskę cienką, wyjął rękawiczki — idzie.

Ale coś go w progu zatrzymało. Przystanął zamyślił się i mówi:

— Matko!... pomyślcie — ja przecież chcę dla drugich dobrze — ja chcę by było lepiej...

— Bez Boga — synu... nie zrobisz nic dobrego...

— A czy to ja bez Boga robię?... Kościół i ksiądz, organy i świece, to przecież nie Bóg. Można się modlić nietylko w kościele.

— Oj synu! synu! co ty mówisz?... ino popatrz — ta chatka biedna, przecie nie matka, a czy ci ona nie miła?... dlatego, bo tu mój kącik stary. Kościół — to dom, ale mieszka w nim Bóg — a kto w Niego wierzy i Jego kocha, idzie tam, bo to nie wielki trud, nie wielka praca, a dla chrześcijanina obowiązek.

Jasiek wyszedł, nie powiedziawszy już ani słowa.

Tomaszowa zapłakała gorzko, po chwili, wysunęła się ścieżką przez ogrody, bo nie chciała, aby ludziska widzieli jej oczy od łez opuchłe.

Nad wieczorem, przyszedł do Tomaszowej pan Józef Ślędzki, majster stolarski.

Był to człek zacny, a lubiał też naukę i czytanie. Pozdrowił kobiecinę w imię Boże, zapytał o to lub o owo, a wreszcie mówi:

— Kochana Tomaszowo! chciałem z wami pogadać o Jaśku. Zepsuli nam chłopca tam w mieście. A szkoda!...

— W Bogu nadzieja, mój sąsiedzie. Nie rozpaczam, choć serce boli. Myślę, że się to jeszcze odmieni — on nie zły, ale obałamucony.

— Daj Boże, aby tak było. Ale gdybyście słyszeli, o czem on rozpowiada!...

— Zwyczajnie — jak go nauczyli ci z miasta.

— Oj bieda z nimi bieda!... Wszystko złe, co jest, złe, co było, wszystko podeptać, sponiewierać, a ich słuchać, tak mówią!...

— Gadanie to jeszcze nie robota — jedni posłuchają, drudzy zapomną...

— Ale że tam w mieście, gdzie tyle ludzi uczonych, mądrych, rozumnych, że im tego nie wyjaśnią, nie wytłumaczą? — pyta pan majster. Czytuję ja rozmaite książki i gazetki — umyślnie nieraz i ich socyalistyczne gazetki czytam, aby poznać co oni robią, ale powiem szczerze, że mię to zastrasza. Wiecie, Tomaszowa, co jest?... Socyaliści zabrali się do roboty żwawo, nie leniwo. Oni jeżdżą, gadają, piszą, drukują. A przeciw nim robota idzie okrutnie słabo.

— Mnie kobiecie starej, nieuczonej, nie mówić na to, bo ja tylko to wiem, co z przykazań i Ewangelii świętej, ale obaczycie, sąsiedzie, ich robota zawali się.

— Ale gdybyście wy Jaśka wzięli ostrzej, gdybyście mu zagrozili, możeby się uląkł.

— Dobrocią — dobrocią więcej zrobię. Widzicie, kumie, jak jest rana, to się jej kijem nie wali, ale ją smaruje ziołami i lekko owija. Złego gniewem ani przekleństwem nie poprawię, jeno tem sercem i tą modlitwą i temi łzami, co płyną...

— Ha! kto wie! może i racyę powiadacie! Jam sobie nieraz myślał — te gazety, co tak okropnie przezywają od bydla, od choroby jakowejś socyalistów — za mało co zrobią — za mało. Jużci trudno ich chwalić i głaskać, ale od głaskania do przezywania to daleka droga. Nie prawdaż kumo?... Zostańcież z Bogiem, a nie trapcie się tak okrutnie!...

Było to w poniedziałek około wieczora, gdy się Jasiek wreszcie obudził. Przyszedł o białym dniu, a właściwie nie przyszedł, bo go przyprowadziła gromadka pijanych, jak on towarzyszy. Śpiewali, wrzeszczeli dziwnymi głosami jakieś dziwne pieśni. Tomaszowa wyszła z chaty. Odebrała od nich Jaśka i poprowadziła go do izby.

On się jeszcze szarpał, krzyczał, chciał zapra-

szać towarzyszy do izby, ale Tomaszowa drzwi zamknęła, Jaśka na ławce położyła.

Co ona czuła w sercu — jaki żal i boleść ją przejmowały — tego nikt nie potrafi opowiedzieć.

Gdy się Jasiek obudził, obaczył matkę przy sobie klęczącą, z różańcem w ręku.

Ten widok był dla niego jakby ciężką skargą matki niebogi. Usiadł, rozejrzał się wokoło, jakby chciał sobie przypomnąć, gdzie jest.

— Matko!... wstańcie!... przecież jeszcze nie jestem konający, abyście przy mnie pacierze odmawiali.

Tomaszowa wstała — przeżegnała się — i poszła do szafki, aby podać Jaśkowi mleka.

Wypił, a oddając kubek, pocałował matkę w rękę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ostatnie roboty w pasiece.

Na roboty pasiecznicze wyjątkowo w bieżącym roku, jako ciepłym było jeszcze nieco czasu jesienią, choć z góry zapowiadam, że te czynności powinny być już we wrześniu wykonane.

Krótko zatem zestawię, jak pasieka powinna w tej porze wyglądać. W pniu silnym nie powinno być więcej jak 7 do 8 ramek, w średnim tylko 5. Miodu odpowiedni zapas, t. j. w silnym pniu 10, w najsłabszym 7 kg. Lepiej zostawić więcej jak mniej. Komu miodu na zasilenie pnia brakuje, niech go nie kupuje, choćby nawet u znajomego pasiecznika, lecz niech miód zastąpi syropem z cukru zwykłego. Cukier jest przy późnem karmieniu pszczół lepszym jak miód, gdyż pszczoły, zabierając go, nie nagromadzą tyle kału, co przy zabieraniu miodu. Do 1 kg. cukru dodaje się $^1/_2$ l. wody zimnej, gotuje się kilka minut, zbierając szumowiny. Po odszumowaniu dodaje się łyżkę miodu patoki, wlewa do glinianego naczynia, na wierzch rzucą się trochę grubej sieczki, wkłada parę patyczków, by te wystawały z naczynia i wsuwa pod ramki. Jeżeli już dni za chłodne, wtedy obok naczynia z syropem kładę naczynie gliniane, napełnione gorącą wodą, zawinięte szmatą — by pszczoły mogły się obniżyć do syropu i przytem nie stretwiały. Dawki powinny być większe, około 3 kg. naraz, by tę czynność jak najprędzej ukończyć.

Jeżeli w pniu napotkasz jeszcze truty, w takim razie, nie namyślając się ani chwilki, skasuj go, bo w nim albo wcale matki niema, albo jest matka wadliwa. Takiego pnia nie warto zimować, bo spotrzebuje miód przez zimę, a na wiosnę padnie. Kasuje się w sposób następujący. Bierz ramkę po ramce, piórkiem gęsiem zmiataj pszczoły do pnia słabszego z dobrą matką, ramkę z większą ilością miodu wstaw razem z pszczołami słabszemu pniowi. Miód, pozostały po skasowanym pniu odkraj nożem i zostaw przed zastawką do góry nogami. Słabe pszczoły w ten sposób wzmocnisz, które ci w następnym roku sowicie wynagrodzą ubytek pni skasowanych. Zastawki czyli okularnice już dawno powinny być pozakładane. Oczka (wyloty) należy zmniejszyć tak, by nimi myszy do środka wchodzić nie mogły, z tej też przyczyny należy wszelkie szpary w ulu pozatykać mchem i gliną zalepić. Z dna ula wymieć wszelkie nieczystości, załóż zatwór i czekaj na stałe przymrozki. W ostatnich dniach listopada, kiedy już nastaną stałe przymrozki a pszczoły z ula nie wylatują, załóż maty słomiane między zatwór a zastawkę, lub w braku tychże wyściel mchem, paprocią, lub chudem sianem, zamknij zatworem dobrze. Jeżeli ten dobrze dopasowany, to i oblepiać go gliną nie potrzeba. Ul powinien być tak zbudowany, ażeby go na zimę słomą nie obciszać. Obciszanie ula słomą na zimę jest szkodliwe, bo w tej gromadzą się myszy i mogą pasiecznika przyprawić o znaczne szkody. Jeżeli ul ma podwójne ściany, a między temi ścianami jest słoma, to pszczoły nia zmarzną. Próżni pod ramkami w pniu silnym wcale nie wyścielaj, w słabym zaś rzuć nieco plew lub sieczki na dno ula.

Wogóle pszczoła jest wytrzymała na zimno i w ulu nawet o pojedynczych $1^1/_2$ cala grubych ścianach nie zmarznie, jeżeli tylko ma odpowiedni zapas miodu. Oczka ula albo zasłoń drewienkami, by do nich promienie słońca się nie dostawały i żeby wiatr w nie nie wiał albo też przestaw tak ule, by do nich promienie słońca się nie dostawały i żeby wiatr w nie nie wiał, albo też przestaw tak ule, by oczkiem były odwrócone od słońca, a na wiatr nie były wystawione. W czasie zimy przestrzegaj, by w pasiece nie robić łomotu, bo pszczoły niepokojone rozłażą się z gniazda i wtedy giną. Tak się postępuje z pszczołami, jeżeli zimują na toczku t. j. w ogródku, a nie w stebniku. Od kilkunastu lat w ten sposób postępuję w jesieni z pszczołami i nie miałem wypadku, by mi w czasie zimy padł choćby jeden pień.

S.

KRONIKA.

Ojciec św. przyjmował w dniu 29 zeszłego miesiąca licznych pielgrzymów. Było ich około 10.000 w tem wielu Rusinów z Galicyi. Papież przybył koło południa do kościoła, w towarzystwie kardynałów i wyższych dostojników kościelnych; między tymi byli: biskup Czechowicz z Przemyśla, biskup And. Szeptycki z Stanisławowa, wikaryusz kapituły ruskiej we Lwowie, ks. Bielecki i ks. Wodrzyński z Przemyśla. Pielgrzymka ruska z Galicyi była bardzo liczna. Po odmówieniu loretańskiej litanii i innych modłach Papież udzielił błogosławieństwa apostolskiego zebranym, a następnie kazał sobie przedstawić wybitniejsze osobistości.

Na pierwszy rok teologii do Seminaryum duchownego dyecezyi krakowskiej przyjęto w tym roku 25 kandydatów, którzy w różnych gimnazyach złożyli egzamina dojrzałości i postanowili poświęcić się służbie Bożej. Oto ich nazwiska: Barda z Mszany Dolnej, Ciepiałek z Krakowa, Górny ze Ślemienia, Górkiewicz z Głębowic, Jeż z Dobczyc, Kaczmarczyk z Bystrej, Kamecki ze Suchej, Kamski z Trzebieńczyc, Kudłacik z Roczyny, Lenart z Lipnika, Mac z Czudca, Mirek z Naprawy, Miś z Radłowa, Nowak z Paprotnik ad Chełmek, Mynarski ze Starej Wsi, Paciorek z Rycerki dolnej, Rychlik ze Zebrzydowic, Sobieniowski z Krakowa, Sosin ze Sygneczowa, Szybowski

z Dziekanowic, Wądolny z Wadowic, Włodek z Rabki, Włodyga z Kęt, Wójcik z Wadowic, Żurawik z Jelenia.

Witamy ich całem sercem. Oby Bóg udzielił im sił do skończenia nauk uniwersyteckich i tak nimi pokierował, by kiedyś opuszczając Seminaryum, wyszli jako kapłani ducha Bożego i zapału do pracy nie tylko nad zbawieniem ludu, ale także i nad jego podźwignięciem materyalnem i umysłowem.

Owoce stanowią znakomity pokarm, bo gaszą pragnienie, dają ciału ludzkiemu składniki koniecznie potrzebne, pobudzają do czynności nerki, działają łagodnie jako środek rozwalniający, pobudzają apetyt, naprawiają trawienie i zapobiegają skorbutowi. Muszą być atoli dojrzałe. Na słabe żołądki znakomicie działają jabłka gotowane czyli kompoty.

Przydałoby się to u nas. W Kanadzie, kraju, liczącym pięć milionów mieszkańców, przeważnie katolików, §. 60 prawa z r. 1883 nakazuje zamykać szynki od 7-mej wieczorem w sobotę do 6-tej z rana w poniedziałek. Tosamo rozporządzenie zabrania sprzedaży napojów spyrytusowych w czasie wyborów w całym okręgu wyborczym.

A u nas najwięcej pijatyki ze soboty na niedzielę, w niedzielę i z niedzieli na poniedziałek! A w czasie wyborów to już nawet i chłopi chłopów rozpajają, jakto obecnie robi w powiecie mieleckim Krempa!

Herbaciani żydzi. Za fałszerstwo herbaty zapomocą domieszek koniczyny i różnych ziół, skazani zostali na 14 dni aresztu prawomocnym wyrokiem sądu w Ropczycach dwaj sklepikarze żydzi: Szyja Grünbaum i Kelmann Faust z Borku, pow. ropczyckiego.

Śmierć pod furą ziemniaków. Józef Budzowski, włościanin z Zawoji pod Babią Górą, ofiarował się zwieść swemu sąsiadowi ziemniaki. Naładowawszy wóz parokonny, wracał obok stodoły, w której właśnie młócono zboże. Spłoszone hałasem konie ruszyły w cwał. — Budzowski chwycił je za uzdę i biegł obok wozu; potknąwszy się jednak upadł, a przywalił go cały ciężki ładunek. Gdy nadbiegła pomoc, z pod kupy ziemniaków wydobyto już tylko martwe zwłoki.

Martwe dziecko w koszu. Zwłoki dwudniowego noworodka, owinięte w wióry stolarskie, a włożone do kosza, obwiązanego sznurkiem, znaleziono we wsi Młynki koło Drohobycza. Za wyrodną matką śledzi żandarmerya.

Uduszona gliną. Przy kopaniu gliny, oderwał się duży odłam ziemi i pokrył grubą warstwą włościankę z Okna, (pow. skałacki) Darye Postorak. Mimo natychmiastowej pomocy wydobyto już tylko zwłoki.

Zaczadzenie. W Bołszowicach na obszarze dworskim, należącym do p. Aleksandra Krzeczunowicza, wybudowano nowy dom, który opalano dla szybszego osuszenia ścian. Nadzór poruczono stróżowi dworskiemu, Fedkowi Pardykule, który zapaliwszy w piecach, położył się spać. Wskutek parowania wilgotnych ścian i czadu (gdyż piece były pozatykane), znaleziono nazajutrz Pardykułę nieżywego. Lekarz stwierdził śmierć wskutek zaczadzenia.

Ugotowany w wapnie. W dniu 24 z. m. w Brzezinach wyrobnik Jan Kołodziejczyk, wracając w nocy podchmielony z wesela, wpadł do dołu z wapnem dopieroco wodą zalanem. Nazajutrz znaleziono zwłoki jego niemal ugotowane.

Śmierć dziecka w płomieniach. Anastazya Kazimierczyk, żona włościanina w Wojntyczach (pow. samborski), susząc konopie, położyła je na piecu. Wychodząc następnie z domu, na konopiach tych pozostawiła trzechletniego synka. Gdy po godzinie wróciła, zastała całe wnętrze izby w płomieniach, a dziecko zwęglone. Powód nieszczęścia zaraz się wyjaśnił. Dziecko pozostawione bez nadzoru, bawiło się leżącemi na piecu zapałkami i zapaliło pod sobą stos konopi.

Bezecny handel. Ryfka Kümmel, zatrzymana przez krakowską policyę w chwili wywożenia dwóch dziewcząt do Ameryki, została skazaną przez tutejszy sąd karny na 10 dni aresztu. Właśnie skończył się dla niej feralny termin; gotowała się więc do wyjazdu z Krakowa — gdy tymczasem zawiadomiono ją, że i nadal jeszcze pozostanie w areszcie. Policya krakowska bowiem sporządziła fotografię tej żydówki i posłała ją do różnych urzędów. Otóż pokazało się, że Ryfka używała różnych nazwisk i wysyłała żywy „towar“ w dalekie strony świata już od dawna.

Z Radomyśla piszą do nas: W dniu 29 października 1900 r., została u nas w Radomyślu otwarta kasa spółkowa oszczędności i pożyczek pod patronatem wydziału krajowego. Nam rzemieślnikom sprawia otwarcie tej kasy prawdziwą radość i napełnia nas nadzieją lepszej przyszłości.

Przewiel. X. kan. Ant. Pasiut, odprawiwszy Mszę św. o uproszenie błogosławieństwa dla nowozałożonej kasy, poszedł z nami w liczbie 12 do domu p. Czułkowskiego i poświęcił lokal. Przytem miał do nas piękną przemowę, aby nas ugruntować w męstwie i zagrzać do wytrwałości. Ludzie źli czynią nam zaraz na początku różne trudności.

Przew. X. kanonikowi składamy serdeczne „Bóg zapłać“ za jego trudy, które podjął dla naszego dobra. Zarząd: J. Pibniewski, P. Kalita, T. Sławiński, Floryan Bielat, Wawrz. Kalita.

My z naszej strony życzymy Szan. Towarzystwu Kasy pomyślnego rozwoju i powodzenia. „Szczęść Boże!“

9,200.000 koron wstawiła Rada szkolna krajowa do tegorocznego budżetu szkolnego. Jako zapomogę dla kilku szkół prywatnych, prowadzonych przez osoby zakonne, wyznaczono zaledwie kilka tysięcy koron. Otóż socyaliści gniewają się na to i mówią, że szkołom prowadzonym przez zakonnice kraj nie powinien udzielać zasiłku. A czemu? A bo — w takiej szkole dzieci łatwo mogą usłyszeć nieżyczliwe słowo o żydach.

My zrobimy uwagę, że po pierwsze jest to zwykłe kłamstwo socyalistyczne, jakoby w szkołach zakonnych szczuto na żydów; po drugie jest to świadectwem, jaką złością pałają socyaliści do tego, co ma jakąkolwiek styczność z religią; a po trzecie świadczy to, jak nadzwyczajną opieką socyalistów cieszą się żydzi.

„Związkowi chłopskiemu“. Nasze pismo nie jest organem stronnictwa katolicko-narodowego. Mimo to w imię prawdy, której służymy, chcemy zrobić kilka uwag z powodu zarzutów, jakie „Związek chłopski“ podniósł przeciw temu stronnictwu. I tak: 1) partya znaczy to samo, co stronnictwo; 2) nazywać stronnictwo katolicko narodowe stańczykowskiem, znaczy wojować starą i zardzewiałą bronią. P. Potoczek wie, że jego nazywają lizuniem stańczykowskim, a czy to prawda?; 3) jeżeli kto nie wie, co znaczy katolicki i narodowy, to na to nie ma rady; 4) kto zarzuca stronnictwu katolicko narodowemu, że się składa z ludzi, którzy gonią za dobremi posadami, to tego twierdzenia nie może poprzeć niczem, bo nikt z katolicko-narodowych nie zrobił interesu na tem, że należy do tego stronnictwa i zrobić nie chce.

Ważne odkrycie. Dziwiło nas nieraz, czemu socyaliści są ludźmi tak dzikimi. Pytaliśmy się, czemu oni kąsają innych (n. p. we Lwowie), czemu się uzbrajają w sękate kije, czemu odgrażają się swym przeciwnikom, że im porachują kości, czemu tak okropnie szarpią dobre imię nieraz najniewinniejszych osób. Zastanawialiśmy się, skąd dobierają tak soczystych przezwisk, jak: drab, szubrawiec, kanalia, podlec, i t. d. Nie mogliśmy pojąć, czemu tak przeraźliwie wyją, ile razy zbiorą się w kupę, czemu zaciskają pięści i zgrzytają zębami na widok n. p. sukni duchownej. Aż tu niespodzianie ta zagadka się rozjaśnia. Bierzemy przypadkiem w rękę pewne pismo socyalistyczne i czytamy ze zdumieniem, że to nie są ludzie, bo ich prapradziadowie byli zwierzętami. Oni sami o sobie to powiadają. Czytamy tam, że zwierzęta przeróżne, które żyją na świecie, są jakby długim łańcuchem, a człowiek jest tylko jednem ogniwem tego łańcucha i nie różni się istotnie od innych ogniw czyli zwierząt. Dosłownie tak piszą: „Człowiek nie ma wcale wyjątkowego stanowiska w przyrodzie, lecz jest tylko ostatniem na dziś — najwyższem ogniwem łańcucha rozwojowego zwierząt“. A dalej jeszcze nazywają wyraźnie zwierzęta przodkami ludzi.

My się do tych zwierzęcych przodków wcale nie przyznajemy — nasi czytelnicy także z pewnością nie. Podobno nikt, oprócz samych socyalistów, nie chciałby mieć tego za-

szczytu, aby psy, koty, osły, małpy, miał liczyć do swych praojców. Oni sami sobie ten przywilej niech przyznają. My ludźmi stworzeni i z ludzi zrodzeni, byliśmy i będziemy ludźmi. Gdy nas zaś socyaliści będą kopali, gryźli, szarpali, kijmi napadali (zwłaszcza przy wyborach) oczywiście będziemy się bronili, ale się nie będziemy dziwili, gdy sobie pomyślimy: **zwierzęta!** Drodzy czytelnicy, miejcie litość nad nimi! — oni nie wiedzą, co mówią.

O opustach podatku gruntowego z powodu szkód elementarnych, napisał Karol Sieprawski książeczkę, która poucza, kto się może ubiegać o opust podatku z powodu klęski żywiołowej, n. p. powodzi. Dostać ją można we Lwowie, w Towarzystwie Kółek rolniczych za 6 hal.

Przewodnik Kółek rolniczych. Jest to pismo wychodzące we Lwowie (ul. Kopernika 19.) dwa razy na miesiąc. Kosztuje rocznie tylko 2 korony. Każdy rolnik może w niem znaleść wiele wiadomości potrzebnych gospodarzowi. Dziwić się należy, że jeszcze nie wszyscy gospodarze to pismo czytają.

Zbrodniczy napad. W sobotę ubiegłego tygodnia dokonała szajka rabusiów napadu zbrodniczego na p. Geca (Götz), właściciela browaru w Okocimiu. O godzinie 10 rano zgłosiło się dwóch ludzi do p. Geca i zażądali od niego pieniędzy na cele odzyskania wolności polskiej. Gdy się p. Gec nie chciał zgodzić na taki podatek, napastnicy zaczęli stawiać się surowiej. P. Gec wezwał do siebie inspektora browaru Narzymskiego, a sam się usunął do przedpokoju. Wtedy jeden z opryszków strzelił za nim, a kula utkwiła we futrynie drzwi. Gdy Narzymski chciał mu odebrać rewolwer, strzelił do niego drugi opryszek dwukrotnie i zranił go w głowę i rękę. Huk strzałów zaalarmował ludzi, którzy się zbiegli i pochwycili napastników. Oprócz rewolwerów mieli przy sobie sztylety. Stwierdzono już, że było ich wszystkich trzech a przybyli z Tarnowa. Obecnie już ich złapano. Nazywają się: A. Kędzior ze Święcan, nauczyciel z Dzianisza; J. Ciżek, nauczyciel z Cięciny i Teof. Sikora z Gawłuszowic, uczeń VII. kl. gimn. w Tarnowie.

W ubiegłym tygodniu umarli przedsiębiorcy naftowi, Szczepanowski i Odrzywolski — ci, którzy lwowską kasę oszczędności niedawno narazili na milionowe straty.

Kalendarz kościelny.

11. Niedziela, 23 po Św. Op. NP. — 12. Poniedziałek, Marcina pap. w. — 13. Wtorek, Dydaka wyzn. — 14. Środa, Serafiona m. — 15. Czwartek, Leopolda w. — 16. Piątek, Edmunda i Pawła. — 17. Sobota, Salomei król.

Odmiany księżyca w listopadzie.

Pełnia dnia 6. o godz. 11. min. 59.
Druga kwadra dnia 14. o godz. 3. min. 37 rano.
Nów dnia 22. o godz. 8. min. 17. rano.
Pierwsza kwadra dnia 29. o godz. 6. min. 35. wieczór.

Ceny targowe.

W Krakowie 6 listopada.

Płacono pszenicę białą 8·30 — 8·65 — Żyto 7·20 — 7·50 — Jęczmień 6·75 — 7·50 — Owies 6·40 — 6·70. kor. za 50 kilo. Kapusty kupowano kopę po 2 — 3 kor., ziemniaków korzec (125 l.) po 2·80 kor.

Kurs pieniędzy.

Za ruble rosyskie płacą . .	2·54	żądają . . .	2·55
Za marki niemieckie płacą . .	1·17	żądają . . .	1·18

Skrzynka na listy.

P. F. Szewczyk w Tęgoborzu. „Prawda" kosztuje do końca b. r. 1 kor.

„Róża duchowna" we Lwowie. Pisemka wysłaliśmy dodawszy dwa nadto. Za porto należy się nam jeszcze 5 ct. a za dodane broszurki 7 ct., czyli razem 12 ct.

P. Czarn. w Klimkowcach. Żądane książeczki i list wysłaliśmy.

Anonimowi z Krakowa. Za słowo uznania serdeczne dzięki. Szkoda, że nie znamy nazwiska. Służyliśmy i służyć chcemy zawsze prawdzie. Jesteśmy przekonani, że prawda wcześniej czy później zwycięży.

P. Herzog w Osieku. Broszury posłaliśmy. Należy się 40 ct. „Prawda" za rok bież. nie zapłacona.

Anonimowi „chłop z chłopa". Odesłaliśmy pod wskazanym adresem. Za życzliwość dzięki składamy.

Wszystkim: W tych dniach ukazała się broszurka, która jasno wykazuje niedowiarstwo socyalistów, p. t. **„Czy pożytecznem jest ludowi oszukiwanie go?"** Napisał P. Zarzycki. Cena 2 centy. Do nabycia w naszej redakcyi.

Ci, którzy chcą zamówić tę lub inną broszurkę, powinni przesłać należytość przekazem lub listownie w markach pocztowych (i dołączyć na przesyłkę 5 lub 10 hal.) Przy zamówieniach za 1 kor. koszta przesyłki ponosimy sami.

Szan. Czytelników, którzy zalegają dotąd z prenumeratą, upraszamy o wyrównania zaległości, bo rok ma się już ku końcowi!

Czytelnikom naszym polecamy do przeczytania.

W tych dniach ukazała się bardzo zajmująca broszurka p. t.: **Czy pożytecznem jest ludowi oszukiwanie go?** Napisał P. Zarzycki. Cena 2 centy. Do nabycia w naszej Redakcyi.

Duchowieństwo polskie a lud. Cena 5 centów.

Socyaliści a religia. Napisał P. Zarzycki. Główny skład u Gebethnera w Krakowie. Cena 3 centy. Do nabycia także w naszej Redakcyi.

Czy ludzie będą mieli kiedy raj na ziemi? Napisał ks. M. J. Nowy Sącz. Nakład J. K. Jakubowskiego. 1900. Do nabycia w każdej księgarni. Cena 5 centów.

Skąd się bierze niedowiarstwo między katolikami? Napisał ks. M. J. Nowy Sącz u Jakubowskiego 1900. Cena 3 centy.

Socyaliści a żydzi. Czerwony katechizm socyalistów. Cena 5 centów. Lwów 1900. Do nabycia w każdej księgarni.

Program na rok 1900, credo i pieśń galicyjskich socyalistów napisał dla klas wykształconych ks. St. Załęski T. J. Cena 5 centów. Lwów 1900.

Co księdzu do polityki? Napisał A. Trzeźwy. Kraków u W. L. Anczyca 1900. Cena 5 centów. Do nabycia w księgarniach.

☞ Wszystkie te książki można nabyć także za pośrednictwem naszej Redakcyi.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

Dodatek nadzwyczajny do Nru 19 „Prawdy“.



AGNIESZKA HRUZOWNA,
zamordowana w brzozowym lesie koło Polnej w Czechach.

Zbrodnia o pomstę do Nieba wołająca.

Było to 30 marca 1899 r., we czwartek, matka Marya Hruza, wdowa, wróciła z Polnej, miasteczka o trzy kwadranse drogi odległego, do domu do Vežnicy pełna smutku i strasznego jakiegoś przeczucia, gdyż jej ukochana córka Agneszka od wczoraj wieczora gdzieś zaginęła. Biegała za nią, szukając po całem miasteczku Polna, lecz nadaremno. Blandina Prchal, u której właśnie Agneszka pracowała, jako szwaczka, oznajmiła, że we środę przed szóstą opuściła jej pracownię, aby jak zwykle udać się do Vežnicy, do domu, a potem już jej więcej nie widziała.

Biedna matka, miejsca sobie znaleść nie może, wpada na rozmaite domysły: widzi córkę nieżywą, to znów uprowadzoną gdzieś daleko w świecie, to zdaje się jej, że powraca i już drzwi otwiera.

Zalewając się łzami, mówi do syna: «Janie, skocz natychmiast do żandarmów i opowiedz o zginięciu Agneszki». W mgnieniu oka poczciwy syn — sam także bardzo niespokojny o siostrę, którą po bratersku, całem sercem kochał, pobiegł do Polnej do żandarmeryi i o zniknięciu siostry oznajmił.

Wiadomość ta dostała się również i do mieszkańców miasteczka i wnet całe przebiegła — a podawano ją sobie ciekawie z ust do ust, z domu do domu; interesowała zaś wszystkich tem bardziej, że przed pół rokiem 17 lipca 1898 r. zaginęła również dziewczyna, Marya Klimówna, którą niedawno znaleziono w lesie «Brzezina» zwanym, blisko miasteczka będącym, pod gałęziami. Był to jednakże tylko kościec, bez ciała, leżący twarzą do ziemi, a obok jej

ubranie przegniłe, które z niej przy zamordowaniu zdarto.

Mieszkańcy Polnej i bliskiej wioski Vežnicy, rzucili się do przetrząśnięcia lasu Brzeziny, choć początkowo — bez skutku.

Tak minął czwartek i piątek — a wszystkich coraz więcej przejmowała myśl o zaginionej córce Hruzowej i zamordowanej Maryi Klimównie i dokąd tylkoś się ruszył — wszędzie o tem mówiono. A przeróżne podnoszono domysły; szczególniej godzono się na jedno, że biedną dziewczynę wzięli żydzi na krew. Mówiono nawet pół gębkiem, że to zrobił żyd, Leopold Hilzner, który choć był leniem i nic nie robił, żył dobrze, dobre palił cygara i dobrze się ubierał i wciąż tylko za dziewczętami po Polnej się włóczył.

Domniemania stawały się coraz wyraźniejsze, coraz pewniejsze i coraz śmielsze. Jedni bowiem widywali go z długim nożem rzezakiem, inni znowu w dniu zaginięcia poczciwej Agneszki z jakimiś dwoma obrzydliwymi a nieznanymi żydami.

Tymczasem poszukiwania nie ustawały — aż w sobotę około godziny 9-tej zauważono w gąszczu lasu Brzezina jakiegoś trupa, leżącego pod narzuconemi gałęziami.

Wiadomość ta jakoby piorun wpadła do Polnej i wioski Vežnicy. Zjawili się natychmiast żandarmi i otoczyli miejsce zbrodni, zbiegli się zewsząd zaciekawieni ludzie, przybyła wreszcie komisya sądowa, złożona z naczelnika sądu Fryd. Reichenbacha i lekarzy sądowych dra Wacł. Michalka i dra Alojzego Prokescha.

Trup leżał twarzą zwrócony do ziemi — zupełnie suchej, zarosłej młodymi świerkami, a o jakie sześć metrów prowadziła droga przez las do Polnej. Głowa zamordowanej była poderznięta nożem i leżała między obiema rękami.

Wkoło głowy okręcono skrwawioną koszulę, jednak tylko jej część górną; dolna część bowiem była w części oddarta, w części odcięta. Na tę koszulę miała zamordowana zarzucony na głowę płaszcz. Na obie ręce, aż po łokcie, zarzucony był kaftanik, a pod nim drugi taki sam czarny, przetykany czerwonem, napół wełniany, z białem oblamowaniem. Na obu ramionach znaleziono kawałki koszuli, napół zaciągnięte na plecy; na prawem ramieniu były one oddarte, na lewem odcięte. Prawa ręka była wzniesiona do góry, lewa na dół, palce były napół otwarte. Na rękach ran nie zauważono; zresztą górna część ciała była zupełnie obnażona. Ciało było przekrzywione więcej na prawo, nogi leżały obok siebie, w kolanach jednak były zgięte w ostry kąt. Reszta ciała była przykryta spódnicą z czerwonego barchanu. Przy oględzinach ciała zauważyli rzeczoznawcy sądowi liczne rany na głowie; sama głowa była skrwawiona, a włosy zlepione. Pod ciałem znajdowała się tylko nieznaczna kałuża krwi, mniej więcej taka, jak rozwarta dłoń. Na miejscu zbrodni znaleziono dwa kamienie, pokryte krwią. Koło miejsca, w którem znaleziono zwłoki Agnieszki Hruzównej, znaleziono również biały koszyk, a w nim zielony dzbanek, który przedtem był prawdopodobnie napełniony mlekiem. A o jakie zaś 3—4 metrów dalej zauważono plamę całkiem świeżej krwi na 25 cm długą, a na 15 cm szeroką. Całkiem wyraźnie można było dojrzeć, że tu właśnie leżały zwłoki. Ziemia była tam na 1 m w długości, a 60 cm w szerokości zbryzgana krwią. W pobliżu leżała zakrwawiona torebka z bronzowego papieru, tudzież zatłuszczony świstek papieru, również zakrwawiony. Dalej znaleziono w pobliżu kawałek grubego płótna, długiego na 43 cm, a szerokiego na 25 cm. Płótno to było skrwawione, a przytem w jednem miejscu było tak złożone, jak gdyby ktoś w nie nóż ocierał. W tem też miejscu znalazło się parę długich włosów kobiecych, zlepionych krwią, zupełnie takich samych, jakie zauważono na zwłokach.

Przy dalszych poszukiwaniach znaleziono w powyższem miejscu pokrwawione zawiniątko, w którem znajdowały się resztki ubrania zamordowanej. Z licznych strzępów z koszuli, wiszących na gałęziach, wywnioskowano, że ofiara została w to miejsce zaciągnięta i że tu dokonano morderstwa. W odległości jakich 30 m na zachód leżał w gąszczu ostrugany kij świerkowy, w środku i na końcu splamiony krwią, tudzież u górnego końca od uderzenia pęknięty.

Przystąpiła teraz do leżącego trupa nieszczęśliwa matka i jednym rzutem oka poznała swoją ukochaną córkę; jakiż straszny był widok! jak człowiek drży od zimna, tak ona drżała cała z boleści, a jak dziecko zanoszące się od płaczu nie może wydać ani jęku ani też przemówić, tak ta biedna staruszka stojąc zdawała się, że zamarła, że oniemiała, na obliczu jej zaś rozsiadła się straszna boleść, przejmujący smutek i nieopisana rozpacz. Jęknęła wreszcie: córka moja! a załamując ręce poczęła jęczeć i płakać.

Ludzie patrząc na tę ogromną boleść wdowy matki, wstrzymywali dech w piersiach, a w oczy ich rzuciły się strumienie łez. Gdybyś sam miły czytelniku tej boleści był świadkiem, płakałbyś jak dziecko, bo same nawet drzewa leśne zdawały się odczuwać tę straszną boleść kochającej matki, bo stały jakoby oniemiałe — ciche i ponure.

Włożono wreszcie z współczuciem ciało zamordowanej do przyniesionej trumny i oddano pieczy burmistrza Polnej Rud. Sadila, a następnie przeniesiono ją do kostnicy na cmentarzu kościoła św. Barbary, gdzie o godzinie trzeciej po południu przeprowadzono sądową obdukcyę zwłok.

Lekarze zaś orzekli co następuje; «Oświadczamy, że nie znaleźliśmy żadnych poszlak, wskazujących na mord seksualny. Oświadczamy dalej stanowczo, że tak zewnętrzne jak i wewnętrzne badanie zwłok wykazało, iż **trup Agnieszki Hruzównej pozbawiony był zupełnie krwi, że znalezione ślady krwi nie odpowiadają wcale ilości tejże, jaką przy tego rodzaju śmierci w pobliżu ciała z wszelką pewnością przyjąćby należało**, że podcięcie szyi dokonane zostało w położeniu odwrotnem, t. j. **zamordowana miała twarz zwróconą ku ziemi**, albowiem inaczej strumień krwi musiałby był opryskać całe miejsce i krzaki, co jednak wcale nie miało miejsca, jak to przy dokładnem badaniu terenu zau-

ważyliśmy; kawałek ziemi, skropiony krwią, był mały i odgraniczony».

Teraz już bez ogródki mówiono, że zamordował Hruzównę żyd Hilsner i krew z niej wytoczył. Mówiono mu to w oczy, on jednakże rozpowiadał i twierdził, że zabili ją cyganie.

Rozpoczęła śledztwo władza sądowa. Pierwszym, którego aresztowano, był właśnie ów żyd Leopold Hilsner. Padło także podejrzenie — zdradziecko przez żydów rzucone, na poczciwego brata zarzniętej Agnieszki — lecz rozumie się daremnie.

Po przeprowadzeniu śledztwa przystąpił sąd w Kutnej Horze do osądzenia krwiożerczego żyda Hilsnera i skazał go na śmierć. W kryminale Hilsner, bojąc się stryczka, przyznał się do popełnionej zbrodni, wymienił wspólników i całą sprawę dokładnie opisał.

Sąd kasacyjny jednakże zniósł zapadły wyrok, rozkazując jeszcze raz całą sprawę przeprowadzić.

Obecnie toczy się właśnie sprawa w mieście Pisku, na którą zwrócił oczy świat cały, gdyż, jak widzicie, nie idzie tu o zwykłe morderstwo, którego przyczyną złość, zazdrość, pieniądze, lub tym podobne rzeczy, lecz tutaj ogół ludzi mówi i twierdzi, że przyczyną morderstwa jest chciwość krwi chrześcijańskiej, której żydzi potrzebują. Przed tem zaś twierdzeniem bronią się żydzi rękami i nogami, choć nieraz im to już sądownie udowodniono.

Sprawę też roztrząśnięto na nowo i to ze wszystkiemi szczegółami. Świadków stanęły całe gromady, a żydzi wytężają wszystkie siły, uciekają się do rozmaitych środków: pieniędzy, pogróżek, bezczelności, kłamstwa — aby tylko zbić z tropu świadków i zeznania ich osłabić.

Zawodzą się wszakże, gdyż świadkowie — sami dzielni ludzie, nie kupują nigdy u żydów i żydami się brzydzą; nie lękają się też wcale pogróżek żydowskich, bo znajdują się na swojej chrześcijańskiej ziemi i wiedzą, że raz już trzeba stawić otwarcie czoło tym niecnym pijawkom.

Przebieg całego morderstwa jest dziś zupełnie jasny i zrozumiały. Czytałem pilnie tok składanych świadectw i cała sprawa przedstawia mi się w następujący sposób:

Morderca upatrzył sobie ofiarę dość dawno, bo Agneszka Hruzówna była silna, zdrowa i czerstwa i wciąż się za nią włóczył — aż biedne dziewczę przykrzyło sobie i nieraz żaląc się matce mówiło: «ten parszywiec mię napastuje».

Hilzner wyrozumiawszy już dobrze zajęcie, drogę i czas, kiedy do domu od pracy wracała, naznaczył dzień mordu. Sprowadził sobie następnie do pomocy dwóch rzezaków, którzy na jakiś dzień przybyli naprzód do Polnej, a nocując w domu zbrodniarza, omówili i ułożyli rzecz całą dokładnie. W dniu 29 marca koło piątej wyszli wszyscy trzej do lasu «Brzezina», aby czyhać na upatrzoną ofiarę. Szli zaś ulicą wiodącą z miasta wprost do lasu, a jeden z nich miał nóż rzezacki przy sobie w kieszeni, z której wystawał, gdyż był długi. Idąc, palili papierosy, co widząc Fr. Cink, furman, a bojąc się ognia, albowiem zrzucał słomę z wozu, wołał na nich: «łajdaki wyrzućcie to z pysku».

Ci wziąwszy papierose w palce, rzucili na ziemię, a następnie szli jeszcze prędzej — prawie biegli. Za miastem, tuż pod lasem dwóch z nich wzięło sobie z drogi kamienie dość spore. Stanąwszy w lesie, obejrzeli miejsce, przyczem widział ich Fr. Peschek. Następnie dwaj ukryli się zaraz w drzewach blisko drogi — którą codzień przechodziła Agneszka, Hilsner zaś skoczył pod świerk, a ująwszy gałąź w rękę, odciął ją nożem, ostrugał na biało, trzymając cieńszy koniec w ręce, machnął w powietrzu i rzekł — dobry!... Teraz i sam się schował i tylko od czasu do czasu wychodził z ukrycia i patrzył na drogę ku Polnej — czy już nie idzie. — Wreszcie dostrzegł ją w oddali — idzie — mruknął, i skoczył nazad między drzewa i świsnął, dając znak ukrytym rzezakom.

Rzeczywiście szła, mając w ręce jednej koszyk mały, a w drugiej koronkę, którą zawsze przy sobie nosiła; — i kroki jej było już słychać — a stawały się coraz wyraźniejsze i coraz bliższe, a kiedy doszła do ukrytego zbrodniarza — ten jak tygrys wyskoczył nagle i kijem co sił uderzył kilkakroć w głowę. Wzdrygnęło się biedne dziewczę — chce wołać — lecz brak jej tchu — zachwiała się więc i padła na ziemię omdlała. Wyskoczyli zaraz i ukryci rzezacy i bili ją kamieniami po głowie, aby ogłuszyć, a potem nuż zdzierać z niej ubranie, a nie mogąc dość prędko zerwać koszuli, rozcięli nożem i patrzą: ciało piękne, zdrowe, nigdzie skazy — koszerna — radośnie mówią.

Twarzą co prędzej obracają teraz do ziemi, a rzezak zagiąwszy na lewej ręce rękaw, bo był majkut, stanął nad nią, a schyliwszy się ujął prawą ręką jej głowę i nieco podniósł w górę, lewą zaś przyłożył nóż rzezacki pod gardło i pociągnął, a następnie nóż odrzucił i głowę w obie chwycił ręce. Nóż ostry przeciął szyję od ucha do ucha aż do kości. Krew trysnęła ciepła, wpadając w podstawione naczynie, po bokach tylko spłynęła kroplami na ziemię, znacząc miejsce zbrodni. Poderznięta dziewczyna poczęła charczeć, nogami i rękami rzucać i drgać, krew tylko bulkotała, a potem, trzymana silną ręką zbrodniarzy zwolna cichła, słabła i opadała — aż skonała. Dusza jej czysta i niewinna uleciała w górę, idąc ze skargą do Boga sprawiedliwego.

Zbrodniarze z ciała zupełnie wytoczyli krew, i mała jej tylko ilość spłynęła na suchą ziemię. Naczynie następnie zamknięto szczelnie, obwinięto w papier i jeden poniósł do miasta i zaraz koleją odjechał. Inni dwaj odwlekli ciało zamordowanej o jakie pięć metrów dalej, przyrzucili, gałęziami drzew nakryli i odeszli ciesząc się, że krwi chrześcijańskiej sporo, dostali.

Obieranie owoców z drzew.

Znajdują się u nas wioski dość liczne, posiadające wiele sadów z coraz lepszymi gatunkami szczepów owocowych, z których jednak małe tylko korzyści osięgamy, a to z tej przyczyny, że nie mamy prawie pojęcia, jak się należy obchodzić z owocem w czasie zbierania i jak go należy przechowywać, by następnie mógł być dobrze spieniężonym. Warto się przypatrzeć w jaki sposób postępujemy z owocami u siebie wyprodukowanymi.

Zaledwie wiosna nadejdzie, a drzewka okryją się śnieżnym kwiatem, zjawia się u właściciela sadu tak zwany sadownik. Ten targuje a następnie kupuje owoc, który dopiero w czasie lata ma się wykształcić na drzewie. Dobiwszy targu, zadatkuje owoc kwotą maleńką. Jeżeli sad obrodzi, wtedy się zjawia w sadzie, pilnuje dojrzewających owoców, a zebrawszy je, wypłaca właścicielowi umówioną cenę; jeżeli zaś sad nie obrodzi, wtedy się również zgłasza, lecz nie po owoc, ale po odebranie zadatku. Sadownik, nie mając pojęcia, jak się należy obchodzić z owocem, wiele przy sprzedaży nie zyskuje, a wieśniak również korzyść ze sadu ma bardzo małą. Nic więc dziwnego, że się zraża do sadu — i ze swymi szczepami obchodzi się po macoszemu. — A przecież tak być nie powinno, bo przy rozumnem obchodzeniu się z owocami, można ze sadu wydobyć bardzo znaczne korzyści. Nadmienić tu muszę, że zawsze starać się należy, aby wprowadzić do swego sadu tylko dobry gatunek szczepów czy to jabłoni, czy też innych jak śliw, grusz, wiśni, czereśni — a lepiejby jeszcze było, by cała wieś, a nawet okolica zaopatrzyła się w drzewka tego samego dobrego gatunku, bo w takim razie lepiej taki towar jednolity spieniężyć można, a nawet wagonami odesłać w dalsze strony; na różne zaś gatunki trudno znaleść lepszego odbiorcę.

Kiedy owoc pocznie dojrzewać, o czem się łatwo można przekonać, bo dotknięty ręką łatwo się oddziela od gałązki, wtedy przystępuje się do obierania tegoż. Na ten cel przygotuję sobie drabinkę sporządzoną w sposób następujący: W drążku niezbyt grubym wiercę dziury, w te wbijam szczeble tak, by końcami z drążka wystawały, na końcu górnym tej drabiny umieszczam na zawiasach dwie podpory, którymi drabina jest wsparta, u dołu zaś drabiny przymocowuję dwie nogi, by drabina silniej stała. Tak urządzonej drabiny nie opieram o gałęzie drzewa, lecz wsuwam ją pod drzewo. Koszyk, który ze sobą zabieram na drabinkę, wyścielam wewnątrz matą słomianą, lub flanelą, by się w nim jabłka nie ogniatały. Potrzebny jest niemniej zrywacz, t. j. woreczek umieszczony na blaszanej obręczy, opatrzonej z boku zacięciami, a osadzony na drążku. Woreczek podsuwam pod jabłko, które wchodzi do woreczka, zaś ogonek jabłka wchodzi w wycięcie obrączki; pociągam drążek ku sobie, jabłko się odrywa od gałązki i wpada do woreczka.

Jabłka z koszyczkiem zsuwam zapomocą powrozu, przyczepionego do koszyka na dół, tu odbiera je pomocnik i przekłada ostrożnie na przygotowanych półkach, z któremi je zanosi do izby chłodnej, zacienionej i suchej. Półki robi się z czterech listw około 8 cm. szerokich, z których dwie boczne mają 60 cm. dwie zaś podłużne 1 m. długości. Te wbija się gwózdkami w ramkę. Pod spodem tej ramki przybijam od strony wewnętrznej listewki 5 cm. szerokie, cienkie, nieco zaokrąglone, w odstępach 2 do 3 cm., na których układam jabłka obok siebie. Każde zatem jabłko leży osobno w rowkach, które tworzą listewki nieco zaokrąglone, by się jabłka nie ugniatały. Półki te wsuwam do niby szafki zrobionej z czterech słupków, z boków ze sobą listwami spojonych; na bokach krótszych są poprzybijane wąskie listewki, na które z boku szerszego wsuwam półki z jabłkami. Dobrze jest między półkami zostawić odstępy na 10 cm., by łatwiej skontrolować owoc, czy się nie psuje.

Na tych półkach stoi owoc po obraniu, w izbie chłodnej z 10 dni, by się wypocił, czyli by stracił trochę wody. Stąd przenoszę owoc do piwnicy suchej, chłodnej, ciemnej, którą poprzednio wybielę wapnem świeżem, a następnie spalę w tej piwnicy trochę siarki przy zamkniętych drzwiach i okienkach. W czasie spalenia siarki człowiek nie może być w piwnicy, gdyż gaz palącej siarki szkodzi ludziom. W ten sposób zebrany owoc da się długo przechować, a kiedy cena na owoc dobra, spieniężyć.

Trud się opłaci, bo kiedy za kilo źle obranego owocu płacą 2 do 5 centów, to za kilo tak, jak to wyżej powiedziano przechowanych jabłek mogę w jesieni otrzymać 20 ct. a na wiosnę nawet 40 ct.

Kraków 1900. — Nakład Redakcyi „Prawdy“. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

SKONFISKOWANY

Dodatek nadzwyczajny do Nru 19 „Prawdy“.



AGNIESZKA HRUZOWNA,
zamordowana w brzozowym lesie koło Polnej w Czechach.

Zbrodnia o pomstę do Nieba wołająca.

Było to 30 marca 1899 r., we czwartek, matka Marya Hruza, wdowa, wróciła z Polnej, miasteczka o trzy kwadranse drogi odległego, do domu do Vežnicy — pełna smutku i strasznego jakiegoś przeczucia, gdyż jej ukochana córka Agneszka od wczoraj wieczora gdzieś zaginęła. Biegała za nią, szukając po całem miasteczku Polna, lecz nadaremno. Blandina Prchal, u której właśnie Agneszka pracowała, jako szwaczka, oznajmiła, że we środę przed szóstą opuściła jej pracownię, aby jak zwykle udać się do Vežnicy, do domu, a potem już jej więcej nie widziała.

Biedna matka, miejsca sobie znaleść nie może, wpada na rozmaite domysły: widzi córkę nieżywą, to znów uprowadzoną gdzieś daleko w świecie, to zdaje się jej, że powraca i już drzwi otwiera.

Zalewając się łzami, mówi do syna: «Janie, skocz natychmiast do żandarmów i opowiedz o zginięciu Agneszki». W mgnieniu oka poczciwy syn — sam także bardzo niespokojny o siostrę, którą po bratersku, całem sercem kochał, pobiegł do Polnej do żandarmeryi i o zniknięciu siostry oznajmił.

Wiadomość ta dostała się również i do mieszkańców miasteczka i wnet całe przebiegła — a podawano ją sobie ciekawie z ust do ust, z domu do domu; interesowała zaś wszystkich tem bardziej, że przed pół rokiem 17 lipca 1898 r. zaginęła również dziewczyna, Marya Klimówna, którą niedawno znaleziono w lesie «Brzezina» zwanym, blisko miasteczka będącym, pod gałęziami. Był to jednakże tylko kościec, bez ciała, leżący twarzą do ziemi, a obok jej

ubranie przegniłe, które z niej przy zamordowaniu zdarto.

Mieszkańcy Polnej i bliskiej wioski Vežnicy, rzucili się do przetrząśnięcia lasu Brzeziny, choć początkowo — bez skutku.

Tak minął czwartek i piątek — a wszystkich coraz więcej przejmowała myśl o zaginionej córce Hruzowej i zamordowanej Maryi Klimównie i dokąd tylkoś się ruszył — wszędzie o tem mówiono. A przeróżne podnoszono domysły;

SKONFISKOWANO

Mówiono nawet pół gębkiem, że to zrobił żyd, Leopold Hilzner, który choć był leniem i nic nie robił, żył dobrze, dobre palił cygara i dobrze się ubierał i wciąż tylko za dziewczętami po Polnej się włóczył.

Domniemania stawały się coraz wyraźniejsze, coraz pewniejsze i coraz śmielsze. Jedni bowiem widywali go z długim nożem rzezakiem, inni znowu w dniu zaginięcia poczciwej Agneszki z jakimiś dwoma obrzydliwymi a nieznanymi żydami.

Tymczasem poszukiwania nie ustawały — aż w sobotę około godziny 9-tej zauważono w gąszczu lasu Brzezina jakiegoś trupa, leżącego pod narzuconemi gałęziami.

Wiadomość ta jakoby piorun wpadła do Polnej i wioski Vežnicy. Zjawili się natychmiast żandarmi i otoczyli miejsce zbrodni, zbiegli się zewsząd zaciekawieni ludzie, przybyła wreszcie komisya sądowa, złożona z naczelnika sądu Fryd. Reichenbacha i lekarzy sądowych dra Wacł. Michalka i dra Alojzego Prokescha.

Trup leżał twarzą zwrócony do ziemi — zupełnie suchej, zarosłej młodymi świerkami, a o jakie sześć metrów prowadziła droga przez las do Polnej. Głowa zamordowanej była poderznięta nożem i leżała między obiema rękami.

Wkoło głowy okręcono skrwawioną koszulę, jednak tylko jej część górną; dolna część bowiem była w części oddarta, w części odcięta. Na tę koszulę miała zamordowana zarzucony na głowę płaszcz. Na obie ręce, aż po łokcie, zarzucony był kaftanik, a pod nim drugi taki sam czarny, przetykany czerwonem, napół wełniany, z białem oblamowaniem. Na obu ramionach znaleziono kawałki koszuli, napół zaciągnięte na plecy; na prawem ramieniu były one oddarte, na lewem odcięte. Prawa ręka była wzniesiona do góry, lewa na dół, palce były napół otwarte. Na rękach ran nie zauważono; zresztą górna część ciała była zupełnie obnażona. Ciało było przekrzywione więcej na prawo, nogi leżały obok siebie, w kolanach jednak były zgięte w ostry kąt. Reszta ciała była przykryta spódnicą z czerwonego barchanu. Przy oględzinach ciała zauważyli rzeczoznawcy sądowi liczne rany na głowie; sama głowa była skrwawiona, a włosy zlepione. Pod ciałem znajdowała się tylko nieznaczna kałuża krwi, mniej więcej taka, jak rozwarta dłoń. Na miejscu zbrodni znaleziono dwa kamienie, pokryte krwią. Koło miejsca, w którem znaleziono zwłoki Agnieszki Hruzównej, znaleziono również biały koszyk, a w nim zielony dzbanek, który przedtem był prawdopodobnie napełniony mlekiem. A o jakie zaś 3—4 metrów dalej zauważono plamę całkiem świeżej krwi na 25 cm długą, a na 15 cm szeroką. Całkiem wyraźnie można było dojrzeć, że tu właśnie leżały zwłoki. Ziemia była tam na 1 m w długości, a 60 cm w szerokości zbryzgana krwią. W pobliżu leżała zakrwawiona torebka z bronzowego papieru, tudzież zatłuszczony świstek papieru, również zakrwawiony. Dalej znaleziono w pobliżu kawałek grubego płótna, długiego na 43 cm, a szerokiego na 25 cm. Płótno to było skrwawione, a przytem w jednem miejscu było tak złożone, jak gdyby ktoś w nie nóż ocierał. W tem też miejscu znalazło się parę długich włosów kobiecych, zlepionych krwią, zupełnie takich samych, jakie zauważono na zwłokach.

Przy dalszych poszukiwaniach znaleziono w powyższem miejscu pokrwawione zawiniątko, w którem znajdowały się resztki ubrania zamordowanej. Z licznych strzępów z koszuli, wiszących na gałęziach, wywnioskowano, że ofiara została w to miejsce zaciągnięta i że tu dokonano morderstwa. W odległości jakich 30 m na zachód leżał w gąszczu ostrugany kij świerkowy, w środku i na końcu splamiony krwią, tudzież u górnego końca od uderzenia pęknięty.

Przystąpiła teraz do leżącego trupa nieszczęśliwa matka i jednym rzutem oka poznala swoją ukochaną córkę; jakiż straszny był widok! jak człowiek drży od zimna, tak ona drżała cała z boleści, a jak dziecko zanoszące się od płaczu nie może wydać ani jęku ani też przemówić, tak ta biedna staruszka stojąc zdawała się, że zamarła, że oniemiała, na obliczu jej zaś rozsiadła się straszna boleść, przejmujący smutek i nieopisana rozpacz. Jęknęła wreszcie: córka moja! a załamując ręce poczęła jęczeć i płakać.

Ludzie patrząc na tę ogromną boleść wdowy matki, wstrzymywali dech w piersiach, a w oczy ich rzuciły się strumienie łez. Gdybyś sam miły czytelniku tej boleści był świadkiem, płakałbyś jak dziecko, bo same nawet drzewa leśne zdawały się odczuwać tę straszną boleść kochającej matki, bo stały jakoby oniemiałe — ciche i ponure.

Włożono wreszcie z współczuciem ciało zamordowanej do przyniesionej trumny i oddano pieczy burmistrza Polnej Rud. Sadila, a następnie przeniesiono ją do kostnicy na cmentarzu kościoła św. Barbary, gdzie o godzinie trzeciej po południu przeprowadzono sądową obdukcyę zwłok.

Lekarze zaś orzekli co następuje; «Oświadczamy, że nie znaleźliśmy żadnych poszlak, wskazujących na mord seksualny. Oświadczamy dalej stanowczo, że tak zewnętrzne jak i wewnętrzne badanie zwłok wykazało, iż **trup Agnieszki Hruzównej pozbawiony był zupełnie krwi, że znalezione ślady krwi nie odpowiadają wcale ilości tejże, jaką przy tego rodzaju śmierci w pobliżu ciała z wszelką pewnością przyjąćby należało**, że podcięcie szyi dokonane zostało w położeniu odwrotnem, t. j. **zamordowana miała twarz zwróconą ku ziemi**, albowiem inaczej strumień krwi musiałby był opryskać całe miejsce i krzaki, co jednak wcale nie miało miejsca, jak to przy dokładnem badaniu terenu zau-

ważyliśmy; kawalek ziemi, skropiony krwią, był mały i odgraniczony».

Teraz już bez ogródki mówiono, że zamordował Hruzównę żyd Hilsner i krew z niej wytoczył. Mówiono mu to w oczy, on jednakże rozpowiadał i twierdził, że zabili ją cyganie.

Rozpoczęła śledztwo władza sądowa. Pierwszym, którego aresztowano, był właśnie ów żyd Leopold Hilsner. Padło także podejrzenie — zdradziecko przez żydów rzucone, na poczciwego brata zarzniętej Agnieszki — lecz rozumie się daremnie.

Po przeprowadzeniu śledztwa przystąpił sąd w Kutnej Horze do osądzenia krwiożerczego żyda Hilsnera i skazał go na śmierć. W kryminale Hilsner, bojąc się stryczka, przyznał się do popełnionej zbrodni, wymienił wspólników i całą sprawę dokładnie opisał.

Sąd kasacyjny jednakże zniósł zapadły wyrok, rozkazując jeszcze raz całą sprawę przeprowadzić.

Obecnie toczy się właśnie sprawa w mieście Pisku, na którą zwrócił oczy świat cały,

SKONFISKOWANO

SKONFISKOWANO

SKONFISKOWANO

SKONFISKOWANO

SKONFISKOWANO

SKONFISKOWANO

Obieranie owoców z drzew.

Znajdują się u nas wioski dość liczne, posiadające wiele sadów z coraz lepszymi gatunkami szczepów owocowych, z których jednak małe tylko korzyści osięgamy, a to z tej przyczyny, że nie mamy prawie pojęcia, jak się należy obchodzić z owocem w czasie zbierania i jak go należy przechowywać, by następnie mógł być dobrze spieniężonym. Warto się przypatrzeć w jaki sposób postępujemy z owocami u siebie wyprodukowanymi.

Zaledwie wiosna nadejdzie, a drzewka okryją się śnieżnym kwiatem, zjawia się u właściciela sadu tak zwany sadownik. Ten targuje a następnie kupuje owoc, który dopiero w czasie lata ma się wykształcić na drzewie. Dobiwszy targu, zadatkuje owoc kwotą maleńką. Jeżeli sad obrodzi, wtedy się zjawia w sadzie, pilnuje dojrzewających owoców, a zebrawszy je, wypłaca właścicielowi umówioną cenę; jeżeli zaś sad nie obrodzi, wtedy się również zgłasza, lecz nie po owoc, ale po odebranie zadatku. Sadownik, nie mając pojęcia, jak się należy obchodzić z owocem, wiele przy sprzedaży nie zyskuje, a wieśniak również korzyść ze sadu ma bardzo małą. Nic więc dziwnego, że się zraża do sadu — i ze swymi szczepami obchodzi się po macoszemu. — A przecież tak być nie powinno, bo przy rozumnem obchodzeniu się z owocami, można ze sadu wydobyć bardzo znaczne korzyści. Nadmienić tu muszę, że zawsze starać się należy, aby wprowadzić do swego sadu tylko dobry gatunek szczepów czy to jabłoni. czy też innych jak śliw, grusz, wiśni, czereśni — a lepiejby jeszcze było, by cała wieś, a nawet okolica zaopatrzyła się w drzewka tego samego dobrego gatunku, bo w takim razie lepiej taki towar jednolity spieniężyć można, a nawet wagonami odesłać w dalsze strony; na różne zaś gatunki trudno znaleść lepszego odbiorcę.

Kiedy owoc pocznie dojrzewać, o czem się łatwo można przekonać, bo dotknięty ręką łatwo się oddziela od gałązki, wtedy przystępuje się do obierania tegoż. Na ten cel przygotuję sobie drabinkę sporządzoną w sposób następujący: W drążku niezbyt grubym wiercę dziury, w te wbijam szczeble tak, by końcami z drążka wystawały, na końcu górnym tej drabiny umieszczam na zawiasach dwie podpory, którymi drabina jest wsparta, u dołu zaś drabiny przymocowuję dwie nogi, by drabina silniej stała. Tak urządzonej drabiny nie opieram o gałęzie drzewa, lecz wsuwam ją pod drzewo. Koszyk, który ze sobą zabieram na drabinkę, wyścielam wewnątrz matą słomianą, lub flanelą, by się w nim jabłka nie ogniatały. Potrzebny jest niemniej zrywacz, t. j. woreczek umieszczony na blaszanej obręczy, opatrzonej z boku zacięciami, a osadzony na drążku. Woreczek podsuwam pod jabłko, które wchodzi do woreczka, zaś ogonek jabłka wchodzi w wycięcie obrączki; pociągam drążek ku sobie, jabłko się odrywa od gałązki i wpada do woreczka.

Jabłka z koszyczkiem zsuwam zapomocą powrozu, przyczepionego do koszyka na dół, tu odbiera je pomocnik i przekłada ostrożnie na przygotowanych półkach, z któremi je zanosi do izby chłodnej, zacienionej i suchej. Półki robi się z czterech listw około 8 cm. szerokich, z których dwie boczne mają 60 cm. dwie zaś podłużne 1 m. długości. Te wbija się gwózdkami w ramkę. Pod spodem tej ramki przybijam od strony wewnętrznej listewki 5 cm. szerokie, cienkie, nieco zaokrąglone, w odstępach 2 do 3 cm., na których układam jabłka obok siebie. Każde zatem jabłko leży osobno w rowkach, które tworzą listewki nieco zaokrąglone, by się jabłka nie ugniatały. Półki te wsuwam do niby szafki, zrobionej z czterech słupków, z boków ze sobą listwami spojonych; na bokach krótszych są poprzybijane wąskie listewki, na które z boku szerszego wsuwam półki z jabłkami. Dobrze jest między półkami zostawić odstępy na 10 cm., by łatwiej skontrolować owoc, czy się nie psuje.

Na tych półkach stoi owoc po obraniu, w izbie chłodnej z 10 dni, by się wypocił, czyli by stracił trochę wody. Stąd przenoszę owoc do piwnicy suchej, chłodnej, ciemnej, którą poprzednio wybielę wapnem świeżem, a następnie spalę w tej piwnicy trochę siarki przy zamkniętych drzwiach i okienkach. W czasie spalenia siarki człowiek nie może być w piwnicy, gdyż gaz palącej siarki szkodzi ludziom. W ten sposób zebrany owoc da się długo przechować, a kiedy cena na owoc dobra, spieniężyć.

Trud się opłaci, bo kiedy za kilo źle obranego owocu płacą 2 do 5 centów, to za kilo tak, jak to wyżej powiedziano przechowanych jablek mogę w jesieni otrzymać 20 ct. a na wiosnę nawet 40 ct.

Kraków 1900. — Nakład Redakcyi „Prawdy“. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.